**„Dolina Baryczy w moim życiu”  
Kazimiera Olszańska  
Coolturalny Klub Seniora przy Bibliotece Publicznej Miasta i Gminy im. Władysława Stanisława Reymonta w Twardogórze  
Korekta: Krystyna Wojtkiewicz**

Mieszkańcom Twardogóry Dolina Baryczy kojarzy się z Miliczem i jego okolicami. Są tonajczęściej dziko rosnące na podmokłych terenach lasy, kręte drogi, wśród nich stawy rybne, groble i mokradła porośnięte różnymi krzewami. Stawy milickie słyną z hodowli karpia. Dolina Baryczy z lat mojego dzieciństwa i młodości to zupełnie inny świat, inny krajobraz, inna bajka.Pamiętam ją jako równinę „jak okiem sięgnąć’’, rozciągającą się niemal posam horyzont.

Stojąc twarzą na północ, w kierunku przepływającej rzeki ze wschodu na zachód, widziałam bardzo szeroką równinę. Zimą, gdy spadł śnieg, była pokryta bielą, a wiosną - piękną zielenią. Pozbawiona krzaków i drzew, jedynie na południowym zachodzie w oddali było widać lasy. Chodziliśmy tam zbierać dorodne jagody i grzyby.

Urodziłam się i wychowałam w miejscowości Garki. To duża,bogata wieś, ale tylko dzięki pracowitości jej mieszkańców, którzy gospodarują na glebach piątej i szóstej klasy! Do dziś nie ma tam miejsc zarośniętych samosiejką, lasów albo innych odłogów i ugorów. Tamtejsza ludność potrafi zagospodarować i wykorzystać każdy skrawek ziemi. Mieszkałam w części wsi, którą nazywano Ściegnami. Budynki moich rodziców były ostatnimi przy drodze wiodącej prosto w kierunku Baryczy. Jeśli poruszałbyś się w linii prostej, będą dzielić cię od niej dwa kilometry. Nasze zabudowania sięgały głęboko w dolinę. Rodzice mieli kilkunastohektarowe gospodarstwo rolne na tak zwanych kwaśnych łąkach. Rozpościerają się one wokół Odolanowa w stronę Milicza, zgodnie z biegiem rzeki Barycz. To stamtąd właśnie, w zachodnią stronę, niemal równolegle, meandrująco płyną trzy rzeki: Kuroch pokazuje się po stronie Raczyc (prawy dopływ), w środku biegnie Barycz, a następnie od strony Garekwidać rzekę Świece (lewy dopływ). Tworzyły one „moją” DolinęBaryczy. Ta ostatnia przepływała w pobliżu naszego rodzinnego domu. Na tej wysokości Barycz była już szeroką rzeką. Wszystkie trzy do dziś tworzą rozległą, szeroką na kilka kilometrów nizinę i zbierają nadmiar wód gruntowych pochodzących z podmokłych terenów oraz nadmiernych opadów. Koryta tych rzek potrafią gwałtownie wypełnić się wodą lub mieć jej znikomą ilość. Ich wody, niezależnie od poziomu, są zawsze bardzo spokojne i płyną leniwie. Mają jednak w wielu miejscach podniesione, a także utwardzone wałami brzegi. Może dlatego na naszym terenie nie było stawów i trwałych rozlewisk. Nawet jeśli się zdarzały, to tylko okresowo, w czasie długotrwałych opadów. Trzy kilometry dalej, na zachód, w okolicach Bartnik i Wróblińca, obydwa dopływy, tj. Kuroch i Kanał Świecki, wpadają do Baryczy. Cała okolica pokryta jest bardzo gęstą siecią rowów melioracyjnych, dosłownie co pięćdziesiąt lub sto metrów można któryś zobaczyć. Wszystkie mają ze sobą połączenie, a te ważniejsze i głębsze są opalikowane, aby zawsze były przepływowe. Przy ujściach do rzeki wszystkie te rowy mają tzw. zastawy i śluzy, którymi regulowano, w zależności od potrzeb, poziom wody. Często widziałam przy nich pracowników melioracji. Barycz ma 133 kilometry długości, a różnice w spadku wody są niewielkie. Wzdłuż każdej z rzek przed wałami rozciągały się tereny zalewowe. W różnych miejscowościach miały różną szerokość lub nie było ich wcale, jeśli grunt wokół brzegów podnosił się wysoko. Łąki rolników docierały do samych wałów i właśnie dlatego było to przyczyną ich kłopotów. Jeśli było mało opadów, a rok był suchy, bez problemów koszono łąki i zbierano siano. Jednak czasem trawa gniła nieskoszona, czasem w pokosach. Rolnicy nigdy nie mieli pewności, czy zbiorą z tych łąk swoje siano, które zawsze było gorszej jakości, ze względu na niedobre gatunki traw występujące na podmokłych terenach.

Pamiętam, że kiedyś wynosiliśmy przesuszone i złożone dzień wcześniej w kupki siano na tę część łąki, która była wyżej i nie była zalana wodą. Tato ze starszym bratem wynosili je na takiej niby drabince, zbitej na szybko, a ja z młodszym rodzeństwem roztrząsaliśmy to siano widłami, aby szybko schło, bo zrobiła się ładna pogoda. Ta akcja nazywała się „ratowaniem siana”. Gdyby tę scenę uwiecznił malarz pejzażysta, nie byłby to sielski widok wsi. Tym bardziej, że potem na dłoniach zostawały bąble, mimo że były one przyzwyczajone do wideł i grabi. Ta sama łąka wynagrodziła nam te niedogodności pewnej zimy wspaniałym, dużym lodowiskiem, gdy wylana woda zamarzła. Pamiętam, że niedaleko nas osiedlono rodzinę, która wróciła do Polski z zesłania na Syberię. Był w tej rodzinie 15-letni chłopak, rówieśnik mojego starszego brata. Zrobił na tym lodowisku wspaniałą karuzelę. Nazywał ją po rosyjsku „krutiłką”. Nie pamiętam dokładnie w jaki sposób, ale przymocował drewniane koło od wozu na wysokości metra w lodzie na płasko, do niego przywiązał kilkumetrowy drąg. Jedna osoba pchając drąg przy kole wprawiała wszystko w ruch bez dużego wysiłku. Konstrukcja ta była podobna do konnego kieratu w ruchu. Reszta dzieciaków trzymała się końca drąga. Gdy krutiłka została wprawiona w ruch i już kręciła się, to ci na końcu drąga zażywali jazdy po lodzie za frajer. Czym kręciło się prędzej, tym szybkość jazdy zwiększała się. W pewnym momencie siła odśrodkowa wyrzucała ostatnią osobę poza karuzelę. Wtedy jechało się już nie na nogach, ale na pupie, brzuchu lub innej części ciała. Nadchodzący moment oderwania się od drąga był bardzo emocjonujący. Radości i wrażeń było przy tym wiele. Może to było i niebezpieczne, ale nigdy nikomu nic się nie stało.

Na tego typu lodowiskach lub po zamarzniętych rowach ślizgaliśmy się łyżwami swojej roboty lub mini-saneczkami długości około czterdziestu centymetrów. Te „skarby” konstruował mój starszy brat. Łyżwy były zrobione z palików długości stopy z przymocowanym od spodu grubym drutem, a całość przymocowana sznurkiem lub rzemieniem do buta. Można było ślizgać się na jednej nodze lub na dwóch, ale na jednej było łatwiej. Takie dwie łyżwy połączone ze sobą poprzecznymi deseczkami stawały się saneczkami. Żeby jeździć na saneczkach po płaskim terenie potrzebny był odpowiedniej grubości kij zakończony na ostro gwoździem. Stojąc na saneczkach, ze zgiętymi kolanami i kijem między nimi, którym się odpychało od lodu, bawiliśmy się doskonale i rywalizowaliśmy między sobą. Jednak nie każdej zimy łąki zalane wodą tworzyły takie lodowiska.

Wiosna, prędzej czy później, nadchodziła zawsze. Wokół robiło się zielono i pięknie.

U nas, przy rowach i w podmokłych miejscach, pierwsze zakwitały kaczeńce. W niektórych miejscach całe łany. Nie były lubiane przez rolników ale były rajem dla ludzkiego wzroku. Do naszej posesji przylegał duży pastewnik sąsiadów. Ich córka była moją rówieśnicą i koleżanką.

Dalszą część tego pastewnika stanowiły mokradła, poprzecinane rowami, w których zawsze stała woda. Były zarośnięte sitowiem i tatarakiem. Ze środka tataraku wyjmowałyśmy i jadłyśmy najmłodsze pędy. Były słodkawe i smaczne. Z sitowia natomiast plotłyśmy różne cudeńka: koszyczki, krasnale czapki czy warkoczyki, które nosiłyśmy jak biżuterię, oraz gniazdka dla ptaków. Nigdy nie chciały złożyć w nich jajek, a my dziwiłyśmy się dlaczego. Z siostrą i koleżanką biegałyśmy do rowów sprawdzić, czy żaby złożyły już swój skrzek, z którego później pojawiały się w wodzie kijanki. Po pewnym czasie po łące skakało tysiące malutkich żabek. Wiosną odbywały się piękne koncerty żab. Wsłuchując się w nie, potrafiłam całkowicie znieruchomieć i tak przez chwilkę trwać. Pod koniec maja łąki pokrywały się dywanami różnorodnych kwiatów. Dla kilkuletnich dziewczynek było to wspaniałe miejsce do przebywania. Ganiałyśmy motyle, łapałyśmy różnorodnej wielkości pasikoniki, przyglądałyśmy się innym robaczkom żyjącym na kwiatkach. Zrywałyśmy najpiękniejsze kwiaty i plotłyśmy wianki na głowy. Czułyśmy się wtedy piękne i żyłyśmy jak w bajce. Potrafiłyśmy leżeć na tej kwitnącej łące i wypatrywać śpiewającego skowronka, który był kropeczką na tle błękitnego nieba. Nie zawsze nasze oczy go dojrzały, ale słyszałyśmy jego trele. Od początku maja, mama pozwalała nam biegać boso. To był raj, ale przez to setki razy byłam użądlona przez pszczoły, na szczęście nikt z nas nie był na nie uczulony.

W Dolinie Baryczy normalnym zjawiskiem były mgły. Moja mama potrafiła przewidzieć, jaka będzie pogoda w danym dniu. Gdy mgła z rana opadała w dół i osadzała się na ziemi, to po pewnym czasie zobaczyliśmy słoneczko i błękitne niebo. Jeśli natomiast podnosiła się do góry, to już nieba nie zobaczyliśmy, bo z mgły powstały chmury.   
 Prawdziwe lato zaczynało się koszeniem traw na łąkach i suszeniem siana. Były to sianokosy. Drugi zbiór traw nazywa się potrawami. Wysuszone siano cudownie pachnie. Do dzisiaj jego woń jest dla mnie bardzo przyjemnym zapachem. Zanim je wysuszono i złożono na poddasza budynków gospodarczych, trzeba było dużo się napracować. W pochmurne lub deszczowe dni chodziliśmy do stodoły bawić się na sianie. Skakaliśmy z najwyższych belek, nawet saltami, a w wydrążonych tunelach była zabawa w chowanego. Zdarzało się, że mama pozwalała nam spać na sianie. Braliśmy z domu koce, leżąc po ciemku snuliśmy różne opowieści albo straszyliśmy się nawzajem. W przyjemnej i odurzającej woni siana usypialiśmy jednak szybko.

Jednego roku latem poziom wód w rzekach był tak niski, że moi młodsi bracia nałapali rękoma ryb na dnie rzeki Świeca i przynieśli je do domu w wiaderkach. Większą część z nich mama smażyła w cieście. Były bardzo chrupiące. Przez dwa dni mieliśmy pyszną wyżerkę. Innym darem natury były pieczarki, dziko rosnące na niektórych łąkach. Najbardziej smakowały takie pieczone bezpośrednio na blacie kuchennym, położone wypukłą częścią kapelusika na płytę i troszkę osolone. Gdy puściły do środka swój sok, można je było już jeść. Mama znała i umiała wykorzystywać zioła dziko rosnące, np. rumianek, piołun, liście babki, dziurawiec.

Wzdłuż Baryczy od strony Ostrowa Wlkp., często na niebie pojawiały się szybowce. Gdy zdarzyło się, że któryś musiał wylądować na łąkach, to było dla nas, dzieci, atrakcją i biegliśmy go zobaczyć. Ściegna były bogate w bocianie gniazda. Nic dziwnego, bo rozległe łąki dostarczały tym pięknym i dostojnym ptakom odpowiedniego pokarmu. Miały również gniazdo na dachu naszej stodoły. Jednego roku stało się nieszczęście. Nadeszła burza z ogromną wichurą i zerwała dachówkę ze stodoły razem z bocianim gniazdem. Na szczęście już było puste. Po remoncie dachu brat umieścił gniazdo na tym samym miejscu. Za rok znowu były młode i klekot na stodole trwał nieprzerwanie. Pewnego ranka mama weszła do mieszkania i mówi: „Wyjdźcie na podwórko, zobaczycie coś wspaniałego przed domem”. To, co ujrzeliśmy, było niesamowite. Kilkadziesiąt metrów od naszych oczu, na kilku łąkach był zlot bocianów, tzw. sejmik przed odlotem. Było ich bardzo dużo, chyba kilkaset. Staliśmy i patrzyliśmy zaczarowani rzadkim widokiem. Słuchaliśmy głośnego klekotu, który był dyskusją bocianiego sejmiku przed dalekim odlotem.

Myślę, jestem niemal pewna, że Barycz w pewnym stopniu zadecydowała o moim życiu. Do rzeki Świeca, która przy dnie miała około 10 metrów szerokości i wody po kolana, często pod wieczór z ręcznikiem i mydłem biegliśmy porządnie się wymyć. Było to w bardzo gorące dni, po męczących i brudnych pracach w gospodarstwie, np. zwózce i składowaniu siana na poddaszach, pracach żniwnych w polu, zwożeniu zboża do sąsieków w stodole lub jego omłotach. Przy takiej pracy pot zalewał oczy i nieustannie leciał po grzbiecie i. Przyjemność umycia się w chłodnej wodzie rzeki była duża i zabierała zmęczenie. Przecież wtedy w domach nikt nie miał łazienki , nie było bieżącej wody, nosiło się ją ze studni. Ta rzeka była bezpieczna nawet dla mniejszych dzieci. Inaczej było z Baryczą, która miała dużą i wysoką zaporę wodną. Na tę zastawę biegaliśmy w sobotę i niedzielę jak na basen. To było dzikie, ale prawdziwe kąpielisko. Z Raczyc i Garek, pieszo i na rowerach, na przełaj przez łąki, schodziły się starsze dzieci i młodzież. To tam nauczyłam się pływać i skakać do wody, najpierw „na bombę”, potem już na głowę z wyciągniętymi przed siebie rękami.

Nabywając te umiejętności, nie byłam świadoma, że będą niezbędne w przyszłości do egzaminu na AWF we Wrocławiu. Wszyscy, którzy nie umieli poprawnie skoczyć ze słupka do wody i przepłynąć 10 metrów, automatycznie byli wykluczeni z dalszego egzaminu wstępnego. To diametralnie zmieniłoby moje życie i nie wiem kim byłabym dzisiaj z zawodu. Chodząc do LO w Odolanowie, należałam też do klubu sportowego w Ostrowie i trenowałam lekką atletykę, a dokładniej - biegi. Do trenera w Ostrowie, na stadion, jechałam raz w tygodniu i dostawałam plan treningów, które wykonywałam w domu. Odbywały się na polnych drogach, często trawiastych, i oczywiście w kierunku Baryczy. Jednakże dopiero w AZS-ie we Wrocławiu otworzył mi się świat. Reprezentując pierwszoligowy klub sportowy jeździłam na zawody i obozy do różnych miejscowości, w różne strony Polski. Chociaż były to lata sześćdziesiąte, wyjeżdżałam również na zawody za granicę.

Moje dzieciństwo i młodość były związane z Doliną Baryczy. Wychowałam się wśród przyrody. Istnieje coś nieokreślonego, co mnie z nią łączy. Do dzisiaj, idąc na spacer, np. do lasu, ominę każde żywe stworzonko, każdego robaczka, jeśli je zauważę. Nie boję się ich i nie brzydzę. One też mają prawo do życia. Jestem szczęśliwa, że nie urodziłam się w bloku w wielkim mieście. Teraz mieszkam w Twardogórze, w pięknym miejscu. Po przeciwnej stronie naszej ulicy zakwita na wiosnę dzika łąka z pełną gamą ziół, rosną różne drzewa, nawet owocowe, a glinianka tworzy urocze oczko wodne. Z dzikiej róży, tutaj rosnącej, robię wino. Chrzanu też nakopię, ale tak, aby w przyszłym roku mógł znowu wyrosnąć nowy. Teraz mam blisko prawdziwy basen kąpielowy, tylko do Baryczy daleko.

**Zdjęcia:**

1. Garki – rów melioracyjny wpływający do Świecy, Kazimiera Olszańska z prawej, około 1960,
2. Wrocław – stadion przy ul. Witelona, w czasie studiów na AWF-ie, trening typu interwałowego, wygląda jak spacer, ale to ciężka praca.